



IZABELLA AGACZEWSKA

*Aleja Cichych Szeptów*

# Aleja Cichych Szeptów

Copyright © by Izabella Agaczewska (Agnieszka Imiołek)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Korekta: RKS Janusz Muzyczyszyn

Projekt okładki: Agnieszka Imiołek

Skład i łamanie: RKS Janusz Muzyczyszyn

Wydawca: Agnieszka Imiołek  
izabellaagaczewska.pl  
izabella.agaczewska@gmail.com

Wydanie III poprawione

ISBN 978-83-949976-7-0

*Dla Agnieszki*  
*Nie ma drugiej takiej, jak TY*



*Wędrownką życie jest człowieka*

*Wędrownką jedną życie jest człowieka;*

*Idzie wciąż,  
Dalej wciąż,  
Dokąd? Skąd?  
Dokąd? Skąd?  
Dokąd? Skąd?*

*Jak zjawia senna życie jest człowieka;*

*Zjawia się, dotknąć chcesz,  
Lecz ucieka!  
Lecz ucieka!  
Lecz ucieka!*

*To nic! To nic! To nic!*

*Dopóki sił,  
Jednak iść! Przecież iść!  
Będę iść!*

*To nic! To nic! To nic!*

*Dopóki sił,  
Będę szedł! Będę biegł!  
Nie dam się!*

~Edward Stachura



# CZEŚĆ PIERWSZA





# ROZDZIAŁ 1

Młoda dziewczyna, siedząca za szklaną ladą, Mziewnęła. Galeria dopiero budziła się do życia. Dochodziła dziesiąta. Nieliczni klienci, nie spiesząc się, przechodzili obok witryn rywalizujących ze sobą butików. Artystycznie wyeksponowane sukienki, otulone ciepłymi szalami w beżowych odcieniach, zasypane były jesiennymi liśćmi. Wielka piramida ułożona z książek zachwycała swoją precyzją i doborem kolorystyki. Roziskrzzone diodami i żarówkami kryształowe lampy o wyrafinowanych, ale delikatnych kształtach, magnetyzowały świetlistą poświatą. Ekspozycje zachęcały potencjalnych klientów do zakupów. Jednak ci snuli się po galerii niezdecydowani, zatrzymywali się przed wystawami i rzadko kiedy wchodzili do środka. Stoisko z ekskluzywną porcelaną nie należało do wyjątków. Na szklanych regałach i stolikach poustawiane były nieskazitelnie białe talerze o prostej, jednak doskonałej formie. Były też wazy, sosjerki, misy, dzbany, półmiski, spodeczki... Wzory zdobiące naczynia urzekały swym pięknem i subtelnością. Porcelana lśniła w świetle dyskretnie rozmieszczonych lampek i reflektorów. Bukiety białych orchidei włożone do szklanych wazonów dopełniały całości. Klienci zatrzymywali się przed wystawą, jakby bali się wejść i zburzyć tym samym panującą we wnętrzu

harmonię i piękno. Odstraszały też ceny. Filiżanka z wytłoczonym storczykiem, w pastelowych odcieniach kosztowała, bagatela, 174 zł. Były też droższe, ale akurat tę wzięła do ręki kobieta, która niezauważenie pojawiła się w sklepie.

Ekspedientka wstała i czujnym okiem zerknęła na klientkę. „Kolejna «odwiedzająca», z tych, co tylko oglądają, ale nigdy nie kupują” – oceniła kobietę sprzedawczyni. – „Szkoda mojego wysiłku na umiżgiwanie się do niej, i tak nic z tego. Kto ubrany w takie ciuchy wyda kilkaset złotych na filiżanki?”

Przecież wiedziała dobrze, że „prawdziwe” klientki przychodzą ubrane w eleganckie płaszcze kupione w najdroższych butikach galerii. Noszą skórzane pantofle w najmodniejszym fasonie i oryginalne torebki od najlepszych projektantów. Naj, naj, naj... Wszystko muszą mieć najlepsze i najdroższe, a porcelana w tym sklepie była również „naj”. Kobieta, która stała przed nią, zachowywała, co prawda, minimalne poczucie smaku, jeśli chodzi o dobór kolorystyczny ubioru, ale fason i jakość pozostawiały wiele do życzenia i świadczyły raczej o niewielkim zasobie portfela. Zrezygnowała więc z miłego powitania i rozmowy, ograniczając się do zdawkowego „Dzień dobry”, ale uważnie obserwowała klientkę.

Kobieta miała ciemne długie włosy, zbyt długa grzywka przysłaniała czoło i brwi. Jej oczy były o nieokreślonym kolorze: szare, niebieskie a może zielone? Trudno było ocenić z odległości kilku metrów, jaka dzieliła obie kobiety. Za to wyraźnie zaznaczały się zmarszczki na bladej, prawie

pozbawionej makijażu, zmęczonej twarzy. Klientka stała wpatrzona w filiżankę, ale myślami była daleko, bardzo daleko. Jej usta nagle drgnęły i na twarzy pojawił się delikatny, nieśmiały uśmiech, który dodał blasku jej smutnym dotąd oczom. Ekspedientka, która oszacowała jej wiek na około pięćdziesiąt lat, teraz zweryfikowała swój osąd.

Filiżanka z białej porcelany była krucha i delikatna. Bała się wziąć ją do ręki. Jednak ciekawość i chęć dotknięcia wyrafinowanego uszka wygrały z irracjonalnym lękiem. Storczyk, który uwypuklał się na gładkiej powierzchni, wyglądał, jakby jeszcze przed chwilą kwitł w ogrodzie. Przesunęła palcem po jego bladoróżowych płatkach. Tak bardzo zapragnęła mieć tę filiżankę. W jej marzeniach pojawił się stół nakryty białym obrusem i ta wspaniała zastawa, pokój jadalny urządzonej z dużą prostotą i elegancją, wszystko nieskazitelnie białe. Srebrne widelczyki, łyżki, noże, serwetniki skrzące się w blasku świateł. Oczami wyobraźni widziała piękną, przestronną kuchnię, wspaniałe hol i schody wiodące na piętro. W myślach meblowała przytulne pokoje na górze. Stała z filiżanką w dłoni i śniła na jawie o wymyślnym domu z wieżyczką.

Rzadko pozwalała sobie na te fantazje, bo na co dzień żyła rzeczywistością, która mocno trzymała ją w ryzach i nie tolerowała bujania w obłokach. Gdy jednak czuła zbliżający się kres wytrzymałości i nadmiar zmęczenia, to poddawała się własnej terapii, którą wypracowała przed laty. Wsiadała w pociąg i przyjeżdżała do Krakowa. Miarowy stukot kół działał na nią uspokajająco.

Nie przeszkadzały jej rozmowy i wzajemne pretensje pasażerów, krzyki dzieci i lecące na głowy bagaże. Wsłuchana w rytm pociągu zatapiała się w świecie fantazji. Pierwsze, co robiła na dworcu w Krakowie, to wchodziła do kolektury i skreślała szczęśliwe liczby – od lat te same. Potem błąkała się ulicami miasta, chodząc po sklepach i wybierając w marzeniach nowe, ekskluzywne ubrania dla siebie, dzieci i męża. Następnie przychodził czas na perfumy, które zanurzały ją w zapachach słodkich róż, orientalnego opium, czy wonnego jaśminu. Na deser zostawiała sobie sklepy z wyposażeniem wnętrz, by mogła puścić wodze fantazji i do woli urządzać swój kupiony za niebotyczną wygraną dom. Teraz było jej o wiele łatwiej, bo wszystkie te sklepy mieściły się pod jednym dachem. Musiała jedynie wybrać galerię, którą miała ochotę odwiedzić. A tych w mieście nie brakowało. Na koniec zachodziła do jednej z kawiarenek i popijając aromatycznie pachnącą kawę, delektowała się wuzetką. Po takim naładowaniu akumulatorów wracała do Andrychowa i mogła z powrotem wtłoczyć się w maszynę swojego coraz bardziej przegranego życia, o które nie umiała już walczyć.

Powiodła wzrokiem po półkach, na których stały piękne, upragnione przedmioty. W jej kuchni każde naczynie było „z innej parafii”. Tak miała w zwyczaju mawiać jej mama o rzeczach, które do siebie nie pasowały. Zostało jeszcze parę sztuk z serwisu obiadowego, który rodzice dostali w prezencie ślubnym. Nie wyrzuciła ich, bo miała sentyment do rzeczy, które przypominały jej chwile spędzone

z nieżyjącymi już rodzicami. Kubek, który pamiętał dotknięcia ust taty, czy talerz z niewidzialnymi śladami palców mamy. Pamiętała, jak zajadała się swoim ulubionym deserem, który robiła jej mama – galaretką z malinami i bitą śmietaną, podawaną w błękitnej salaterce. Mama śmiała się, patrząc, jak wszystko znika w okamgnieniu, a na nosie, brodzie i bluzeczce jej pociechy pojawiają się czerwone ślady po owocach. Błękitna salaterka z wyszczerbionymi brzegami, od lat już nieużywana, nadal zajmowała honorowe miejsce w kuchennej szafce. Przypomniała sobie, jak z Piotrem, zaraz po ślubie, poszli zrobić pierwsze zakupy. Kupili w hipermarkecie w Bielsku kilka talerzy z niebieskimi chabrami. Piotr na półce obok znalazł dwa kubki z identycznym wzorem. Powiedział, żartując, że z tego kubka będzie pił herbatę do końca swego życia. Bynajmniej nie z powodu niezwyklej urody tego naczynia – patrząc na te bławatki, będzie widział oczy swej ukochanej żony. Byli tacy szczęśliwi, mimo że porcelana na wagę była importowana z Chin, a jej jakość pozostawiała wiele do życzenia. Talerze się porozbijały, ale nadal piją herbatę z tych ulubionych kubków. Potem kupili ekskluzywny serwis na dwanaście osób, taki, o jakim zawsze marzyła: z delikatnym srebrnym wzorkiem. Jednak krótko się nim cieszyła, musiała go sprzedać za połowę ceny, gdy...

Nagle usłyszała ostry dźwięk porcelanowej filiżanki, rozpryskującej się na wypolerowanej kamiennej podłodze. Była przerażona, nie mogła złapać tchu, poczuła ucisk i ból w klatce piersiowej, jakby

ktoś ścisnął ją kleszczami. Skuliła się, trzymając na piersiach jedną rękę, na drugiej zacisnęła zęby, by nie krzyknąć. To nie pierwszy atak paniki w jej życiu, ale od ostatniego minęło już kilka miesięcy. Myślała, że uporała się z tym problemem. Gorączkowe myśli niczym napisy na dole ekranu telewizora przelatywały jej przez głowę. „O Boże, co ja zrobiłam? Będę musiała za to zapłacić. Skąd wezmę taką sumę?” Strach ją paraliżował. Niepewnie spojrzała na sprzedawczynię, która patrzyła na nią z nie mniejszym przerażeniem i nieskrywaną złością.



Ekspedientka zauważyła, jak nagle zmienił się wyraz twarzy klientki. Łagodny uśmiech zastąpił grymas bólu, a oczy wypełniły się łzami, które jedna po drugiej powolutku toczyły się po policzkach. Ręka, w której kobieta trzymała filiżankę, zaczęła drżeć. Dziewczyna nie czekała dłużej, tylko ruszyła w jej stronę. Nie zdążyła. Jak na zwolnionym filmie widziała spadającą porcelanę. Nie umiała przyspieszyć ruchów i zapobiec katastrofie.

Teraz obie stały nad skorupami, które jeszcze przed chwilą tworzyły doskonały kształt. Spojrzała na klientkę, która drżała i głośno łapała każdy oddech. Miała ochotę nawrzeszczyć na nią, ale powstrzymało ją spojrzenie kobiety. Było pełne bólu i czegoś, co trudno było odczytać. W jej oczach tliła się także iskierka nadziei.

– Proszę się uspokoić. – Dziewczyna pierwsza otrząsnęła się i zaczęła działać. Posadziła klientkę na krześle i podała jej szklanekę wody. Kobieta wyjęła opakowanie tabletek z torebki i wprawnym, dobrze wyćwiczonym ruchem wzięła jedną, popijając przyniesionym płynem. Po chwili uspokoiła się i mogły porozmawiać.

## ROZDZIAŁ 2

Szła po mokrym chodniku, na którym leżały pierwsze jesienne liście. Słońce bezskutecznie usiłowało przedostać się przez grubą warstwę chmur i rzucić kilka ciepłych promieni, by ogrzać i rozjaśnić, choć na chwilę, ciemnoszare ulice miasta. Zamiast nich, z nieba koloru stali padały grube krople deszczu. Zimny wiatr kręcił się raz w jedną, raz w drugą stronę, znikał, a potem nagle wyskakiwał zza kolejnego szpitalnego budynku, by wywołać atak dreszczy u zmarzniętych przechodniów. Ewa prawie biegła do widocznego w oddali budynku przy ulicy Śniadeckich. Przez to zdarzenie w galerii była już spóźniona na umówioną wizytę z lekarzem.

Niewiele obiecywała sobie po tej konsultacji, ale jeśli miała być leczona, to tylko pod kierunkiem doktora Gabriela Werdycha – Archanioła Gabriela. Tak w żartach mówiły o młodym medyku pielęgniarce i pacjenci. Nawet ordynator przyznawał, że samo imię działa kojąco na chorych. Co ważniejsze, lekarz wykazywał się wnikliwą i skrupulatną diagnozą schorzeń, a swoich pacjentów otaczał troskliwą opieką. Mimo upływu lat pamiętała go bardzo dobrze, jego ciepły, przyjemny głos dodający otuchy i nadziei, pełne uśmiechu, łagodne spojrzenie



i spokój, jaki ją ogarniał, gdy tłumaczył zawilości leczenia i terapii. Była mu wdzięczna za szczerość, mimo że nie była łatwa do zaakceptowania. Nigdy nie zapomni tego, co dla niej zrobił w najważniejszej chwili jej życia.

Zmoknięta, mimo rozpostartego parasola, który nie mógł ochronić jej przed kroplami deszczu miotanymi przez zawiewający z różnych stron wiatr, dotarła do przychodni przyklinicznej. Spytała o gabinet lekarza i ruszyła wąskim korytarzem, przeciskając się między tłumem oczekujących pacjentów. Wszystkie miejsca były zajęte, stanęła więc przy oknie, patrząc, jak krople deszczu, jedna po drugiej, spływają po szybie. To miejsce znów wywołało falę bolesnych wspomnień.



– Pani Ewa Jodłowska, zapraszam do gabinetu. – W poczekalni rozległ się mój donośny głos.

Trzymając w ręce historię choroby pacjentki, usiadłem za biurkiem. Gdy weszła, nie od razu ją rozpoznałem. Dopiero gdy napotkałem jej spojrzenie, wspomnienie, niczym piórko puchu, sfrunęło z nagle otwartej szuflady niepamięci. Minęło prawie dwadzieścia lat, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Ponownie zerknąłem w kartę.

„Ewa Jodłowska, lat 43...”

Zmieniła nazwisko, co nie było niczym zadziwiającym, jednak trudno było mi odnaleźć podobieństwo do kobiety, którą kiedyś znałem. Pozostał znajomy uśmiech, nieśmiało błakający się w kącikach ust i dźwięczny głos. Dyskretnie na nią spoglądałem znad papierów. Wydawała mi się dużo starsza niż była w rzeczywistości. Trochę zaniedbana, bez makijażu, który mógłby nieco zatrzeć ślady upływającego czasu. To nie był tylko brak dbałości o siebie, na jej twarzy malowało się też zmęczenie. Co było powodem tych zapadniętych policzków, bladej cery i podkrążonych oczu? Zbyt dobrze wiedziałem, co to może oznaczać. Spojrzałem na wyniki badań. Czyżby historia miała się powtórzyć?

Byłem wtedy jeszcze na stażu. Przez wiele miesięcy obserwowałem Ewę, która towarzyszyła swojej matce w czasie każdego pobytu na oddziale onkologii. Wyglądały jak siostry, podobne do siebie niczym dwie krople wody. Nie odstępowała chorej na krok. Przychodziła, gdy tylko kończył się obchód i wychodziła ostatnia, wyganiana przez pielęgniarki. Opiekowała się nie tylko mamą, ale także innymi pacjentkami. Każdy ją lubił, bo wносиła ze sobą na szpitalne sale powiew wiosny. Nawet siostra oddziałowa z przymrużeniem oka patrzyła na jej wizyty poza wyznaczonymi godzinami. Nieraz widziałem ją, jak płakała, siedząc na schodach, po czym dokładnie wycierała mokrą od łez twarz, poprawiała makijaż i z uśmiechem na karminowych ustach wkraczała na oddział. Zawsze rozciągał się za nią smakowity zapach jagodzianek, które piekła dla matki i innych chorych. Czasami częstowała nimi

pielęgniarki i lekarzy. Do tej pory czuję ich smak. Zapamiętałem ją, bo była pierwszą osobą, którą musiałem poinformować o śmierci pacjenta. To nie było łatwe zadanie...

Jej długie kasztanowe włosy były w lekkim nieładzie, pewnie dlatego, że na zewnątrz szalała pierwsza wiosenna burza. Miała długą sukienkę koloru wrzosu. Jeszcze teraz widzę ją, jak roześmiana wchodzi na oddział i energicznie idzie korytarzem wprost na mnie. W miarę jak się zbliża, jej uśmiech powoli gaśnie, patrzy mi w oczy i wszystko rozumie. Jej kroki stają się cichsze, w końcu milkną. Stoi przede mną, a ja nie wiem, co mam jej powiedzieć. Jak zakomunikować komuś, że jego najbliższa osoba zmarła kilkanaście minut temu? Jakich użyć słów? Zanim cokolwiek powiedziałem padło jej ciche pytanie:

– Gdzie teraz jest mama?

Wskazałem ręką na salę, z której nie zdążono jeszcze wywieźć zmarłej do sekcji. Wręczyła mi pudełko z jagodziankami i powoli weszła do sali. Pielęgniarka próbowała protestować, ale poprosiłem, żeby wyszła z pokoju. Podałem jej drożdżówki, a sam zostałem przed drzwiami, pilnując, by nikt nie zakłócił ostatniego spotkania matki i córki. Ewa wiedziała, że jej matka umrze, ale nie była gotowa na tę chwilę. Czy ktokolwiek może przygotować się na śmierć najbliższej osoby? Wątpię. Podbiegła do łóżka, na którym leżało wyniszczone chorobą ciało jej matki. Przywarła do niego i zanosła się szlochem, całowała ręce i twarz kobiety. Położyła głowę na piersi matki i objęła się jej bezwładnymi rękami.

Trwała tak w tym pożegnальnym objęciu przez dłuższą chwilę. Podeszedłem i delikatnie dotknąłem jej szczupłego ramienia. Drgnęła, budząc się z letargu, spojrzała na mnie z błaganiem w oczach. Wycofałem się więc z sali i powstrzymałem nadchodzących sanitariuszy, którzy przyszli zabrać ciało zmarłej. Ewa pochyliła się nad twarzą matki i coś szeptała jej do ucha, po czym złożyła na jej ustach pocałunek, uściśnęła dłoń i odeszła chwiejnym krokiem od łóżka. Była roztrzęsiona i blada. Zaprowadziłem ją do dyżurki lekarskiej i podałem tabletki na uspokojenie. Otuliłem ją ciepłym kocem, bo cała drżała z zimna i emocji. Gdy doszła do siebie, pomogłem jej załatwić wszystkie formalności. Przy pożegnaniu nieoczekiwanie przytuliła się do mnie i wyszeptała:

– Dziękuję, to było dla mnie bardzo ważne.

Odeszła, posyłając mi wdzięczne spojrzenie. Tak, byłem nią zauroczony. I mimo upływu lat zmieszałem się jak sztubak, widząc ją ponownie. Niestety, znów miałem jej do przekazania złe wieści.

– Pana oczy nie potrafią nic ukryć – odezwała się pierwsza. – Mam raka, prawda? – Jej głos był smutny, ale pełen spokoju.

– Tak, to znaczy nie... – Miotalem się, zupełnie zaskoczony tym bardziej stwierdzeniem niż pytaniem.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Znowu zrobiłem się purpurowy. „Co za idiotyczna sytuacja” – myślałem gorączkowo.

– Przepraszam, źle się wyraziłem. – Musiałem się jakoś wytłumaczyć. – Jeszcze nie wiem, co pani dolega. Wyniki badań faktycznie ujawniają niewielki

guz w prawej piersi, ale to jeszcze nie oznacza, że to nowotwór.

Patrzyła mi prosto w oczy i milczała, czekając na drugą część mojej wypowiedzi. Nie było w tym spojrzeniu ulgi ani nadziei. Wiedziała, co powiem.

– Jednak biorąc pod uwagę przypadki onkologiczne w pani rodzinie, niestety nie mogę tego wykluczyć. Bądźmy jednak dobrej myśli. W najbliższy piątek wykonamy mammotomiczną biopsję piersi, a do tygodnia lub dwóch poznamy wyniki. Za dwa tygodnie zgłosi się pani do doktora Szaflarskiego, bo ja w tym czasie będę na symposium w Paryżu.

– Nie – przerwała mi nerwowo. – Ja zaczekam – dodała już spokojniej. – Ufam panu.

Tymi słowami zbiła wszystkie argumenty, których nie zdążyłem nawet przedstawić. No cóż, nie będę ukrywać, że to mile polechtało moje ego. Znowu poczułem, że się rumienię, po raz trzeci w ciągu kilku minut. Wziąłem z biurka kalendarz i zacząłem wertować kartki.

– No dobrze, pani Ewo. W takim razie zadzwonię do pani po moim powrocie i umówimy się na kolejną wizytę.

Wstała z krzesła i wolno podeszła do drzwi. Trzymając rękę na klamce, odwróciła się i patrząc mi prosto w oczy, powiedziała:

– Wiem, że to sprawa beznadziejna, ale będę się czuła bezpiecznie, gdy sam Archanioł Gabriel będzie moim lekarzem. Proszę tylko o szczerość. – Uśmiechnęła się i zanim zdążyłem zareagować, już jej nie było.

Gdy zamknęły się drzwi, opadłem na oparcie

fotela. Poluzowałem krawat i wziąłem głęboki oddech. Wiedziałem, że niektóre pielęgniarki i pacjenci żartują sobie z mojego imienia. Nie sądziłem tylko, że Ewa będzie o tym pamiętać. Marny ze mnie zwiastun dobrej nowiny. Podrażniona ambicja kazała mi się jeszcze raz zagłębić w historię choroby kobiety. Niestety, bez wyników szczegółowych badań nie potrafiłem nic odkrywczego wymyślić. Dopiero po chwili poprosiłem kolejnego pacjenta.

## ROZDZIAŁ 3

Wysiadając z autobusu, potknęła się i wpadła wprost do ogromnej kałuży. Nikt nie pospieszył jej z pomocą. Przechodnie schowani pod parasolami omijali ją z daleka, każdy uciekał przed deszczem. Podniosła się i utykając na prawą nogę, powoli ruszyła w stronę ulicy Włókniarzy. Upadając, stłukła kolano, z którego teraz sączyła się mała strużka krwi. Była obolała, mokra i brudna. Próbowała otworzyć parasol, ale jak pech to pech, automat się zaciął. Szła więc, zmagając się z wiatrem i odczuwając siekące w twarz, ostre niczym tysiące szpilek krople zacinającego deszczu. Nie zdołała zapiąć płaszcza i każdy silniejszy podmuch wdierał się bezlitośnie pod poły targanej tkaniny, przesywając lodowatym zimnem jej drobne ciało. „Jeszcze tylko pięć minut” – pocieszała się w myślach. „I niech się ten koszmarny dzień wreszcie skończy. Kto by pomyślał, że to ledwie dwudziesty siódmy wrześnień? Przypomina raczej ponury listopadowy piątek, w dodatku trzynastego”.

Ostatnimi siłami weszła na trzecie piętro i stanęła pod drzwiami. Zesztywniałymi z zimna palcami szukała kluczy w torebce. Nagle zza zamkniętych drzwi dobiegły ją głośne krzyki. Awantura rozgrywająca się w jej mieszkaniu bardzo ją zdenerwowała.

– Spadaj, chamie jeden, ja ci nie grzebię na twoich półkach! – Osłupiała usłyszała głos córki.

– Kur... mać! A ty wczoraj zarąbałaś mi pięć dych z portfela! Myślisz, że nie wiem? – Teraz krzyczał młodszy o dwa lata syn, Mateusz. – Skąd bierzesz kasę na te wszystkie markowe ciuchy?

– To ze szmateksu, idioto! – wrzeszczała Ania coraz bardziej piskliwym głosem.

– Tak to możesz szklić starej, a nie mnie. Ona ci we wszystko wierzy. „Moja Ania to artystka” – przedrzeźniał głos matki. – „Chodzi do szkoły plastycznej. Ona bardzo dobrze się uczy, to takie mądre i dobre dziecko”. – Śmiał się szyderczo. – Ale gdyby wiedziała, co ty w tym Bielsku wyczyniasz, to by chyba na zawał zesła.

– A ty nie jesteś lepszy, jak się skumplowałeś z tymi bandytami od Junkersa, to ci zupełnie odważyło! Skończysz w poprawczaku albo za kratami.

– Zamknij się idiotko!

– Znaleźli naiwniaka, który odwala za nich czarną robotę. Zobaczysz, ty za to bekniesz, a oni się z tego wymigają. Stary Makiego jest nieźle ustawiony, pewnie ma całą prokuraturę w kieszeni. Obudź się, na jakim ty świecie żyjesz!

Stała z kluczami w ręce i oniemiała słuchała kłótni swoich nastoletnich dzieci. W ciągu tych kilku chwil dowiedziała się o nich więcej niż przez ostatni rok. To nie mogło być prawdą. Usłyszała kroki na schodach, więc czym prędzej włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi.



– Dzień dobry, pani Jodłowska. A co to za hałas? – Jednak nie zdążyła się schować przed wścibską sąsiadką z czwartego piętra. – To chyba Aneczka z Mateuszkiem? Jak to się mówi, kto się lubi, ten się czubi. Brat z siostrą też się musi pokłócić od czasu do czasu. – Sąsiadka zaśmiała się, a potem zaafektowanym tonem głosu śpieszyła donieść o kolejnej osiedlowej sensacji. – A słyszała pani o tym napadzie na tego małego Kieszkowskiego? Znaleźli go wczoraj nad ranem obok śmietnika. Był nieprzytomny, miał całą twarz we krwi. To były podobno mafijne porachunki – dodała, ściszej głoś. – A ten Maciek też święty nie jest, jego starsi bracia najpierw w poprawczaku byli, a teraz jeden wylądował w kryminale. Mafia, mówię pani! Niech pani uważa na Mateuszka.

– Co też pani mówi, pani Gałkowa. To nie Sycylia, tylko nasz Andrychów – powiedziała Ewa. Zanim zamknęła drzwi, doleciały ją jeszcze złowieszcze narzekania Gałkowej:

– A ja pani mówię: mafia i gangsterka! Sodomia i Gomora! Co się to porobiło na tym bożym świecie.

Stała w przedpokoju, starając się poukładać kłębiące się myśli. Stłuczone kolano bolało ją coraz bardziej. Powoli ściągnęła przemoczone ubranie, z dziurawych butów wypływała woda. Podniosła jeden do ręki i okazało się, że w kilku miejscach rozkleiła się podeszwa. Sprawdzała się stara zasada: co tanie, to drogie. Musi kupić nowe buty, bo te nie nadają się już do chodzenia.

– Cześć mamoo! – zawołała Ania. – Niespodzianka, przyjechałam dziś, bo potrzebuję pieniądze na jutro

do szkoły, wiesz, na ten wyjazd do Wrocławia za dwa tygodnie. Podgrzałam zupę i zjedliśmy ją z chlebem. Teraz lecę do Olki, bo się z nią umówiłam. Nie widziałyśmy się całe wieki. Musimy pogadać. – Dziewczyna nienaturalnie szybko wyrzucała z siebie komunikaty, chcąc zatuszować zaskoczenie, spowodowane pojawieniem się matki w trakcie ich głośnej awantury. Teraz oboje zastanawiali się, czy ich rodzicielka słyszała i rozumiała, o co się kłócili. – Będę wieczorem. – Anka cmoknęła mamę w policzek. – Ale jesteś zmarznięta i przemoczona. Nie miałaś parasola?

Ewa patrzyła na swoją siedemnastoletnią córkę – była ładna, podobna do ojca, miała długie blond włosy, jej zielone oczy podkreślone były perfekcyjnie wykonanym, ale trochę zbyt mocnym makijażem. Bacznie przyjrzała się ubraniu nastolatki. Nie pamiętała, żeby Ania miała taką bluzkę i spodnie. Wyglądały raczej na drogie rzeczy. Postanowiła jednak nie ruszać na razie tego tematu. Musiała to sobie wszystko spokojnie przemyśleć.

– Miałam, ale mi się zepsuł, muszę go naprawić – odpowiedziała po chwili.

– Powinnaś go wyrzucić i kupić nowy, widziałam w Bielsku taki śliczny rudo-brązowy.

– No dobrze Aniu, kupię sobie piękny parasol i porządne, skórzane buty, ale ty nie pojedziesz na szkolną wycieczkę, może być?

– Oj, mamuś, ty to potrafisz człowieka sprowadzić na ziemię. Będę koło dziesiątej. – Dziewczyna przemknęła przez przedpokój i już jej nie było.

– Ja też wychodzę. – Mateusz wychylił się z pokoju. – Idę pouczyć się do Michała, mamy przygotować razem prezentację na historię.

Oboje uznali, że bezpieczniej będzie usunąć się z mieszkania i uniknąć jakichkolwiek pytań matki.

– Nie jesteś głodny? – Ewa obserwowała uważnie syna. Skąd się wzięły siniaki na jego muskularnych ramionach i te zadrapania na szyi? Już miała go o to zapytać, ale się rozmyśliła.

Weszła do łazienki, zdjęła resztę mokrych ubrań i odkręciła kurek z ciepłą wodą. Rzadko pozwalała sobie na ten luksus, jakim była kąpiel w wannie. Przeważnie brała szybki prysznic. W jej zabieganym życiu ciągle brakowało czasu choćby na chwilę relaksu. Wstawała o piątej rano. Przygotowywała śniadanie dla Mateusza i męża, bo Ania w ciągu tygodnia mieszkała w internacie. Gdyby im nie zrobiła, to Piotr zapomniałby o śniadaniu, a syn zapewne wolałby kupić coś na mieście, niż samemu sobie zrobić kanapkę. A to kosztowałoby ją dwa razy drożej. Ciągle musiała kalkulować i przeliczać pieniądze. Czuła się jak ostatnia sknera, wydzielając każdy grosz dzieciom, ale inaczej nie mogła. Mieli do spłacenia zaciągnięty kredyt. Ania uczyła się w liceum plastycznym w Bielsku, żeby nie musiała codziennie dojeżdżać, zamieszkała w internacie – to generowało kolejne, dość duże koszty. Na czynsz, opłaty i pozostałe rachunki ledwie starczało. Piotr, mimo doskonałych kwalifikacji, nie mógł znaleźć pracy już od kilku lat. Albo odpadał przy rekrutacji, albo był zwalniany po okresie próbnym.

Depresja – to prawdopodobna przyczyna jego niepowodzeń. Prawdopodobna, bo mąż już dawno zrezygnował z pomocy specjalisty. To była jej diagnoza.

Ewa pracowała w sklepie, a od dwóch lat dodatkowo opiekowała się panem Józefem. To pozwalało im jako tako przetrwać od wypłaty do wypłaty. Ciężko było jej godzić dwa etaty z obowiązkami w domu. W sklepie wykonywała wręcz katorżniczą pracę od wczesnych godzin porannych. Rzadko kiedy udawało jej się skończyć po ośmiu godzinach, często zostawała na nadgodziny, które były co prawda marnie opłacane, ale reperowały rodzinny budżet. Miała tylko jeden wolny weekend w miesiącu. Od lat nie brała urlopu, wolała w zamian otrzymać finansową rekompensatę z tego tytułu. To pomagało łątać ich wiecznie pogłębiającą się zapaść finansową. Ewa nie bała się trudów i obowiązków, ale najbardziej męczyła ją atmosfera panująca w sklepie. Mimo że miała dość długi staż pracy i duże doświadczenie, to jednak każdego dnia modliła się, żeby końcowy bilans dnia zgadzał się co do złotówki. Była nieustannie poganiana przez kierownika sklepu, który chciał zabłysnąć umiejętnością organizacji pracy przed nowym właścicielem, a także napiętnowana przez koleżanki za sumienne wykonywanie obowiązków; miała ochotę rzucić posadę. Niestety, zdawała sobie sprawę, że ma marne szanse zaistnieć na rynku pracy ze swoimi niewiele wartymi kwalifikacjami. A już na pewno nie miała gwarancji, że otrzyma wyższe wynagrodzenie. Bez finansowego wsparcia ze strony męża nie mogła nawet marzyć o zmianie swojej sytuacji. Oszczędności już dawno im się skończyły, a to, co

mieli cennego, zdążyła już spieniężyć. W dodatku ciążyła na niej spłata kredytu, który zaciągnęli na zakup mieszkania.

Gdy znalazła dodatkowe zajęcie, bardzo się ucieszyła. Sąsiadka, której córka była listonoszką, powiedziała jej, że poszukiwana jest opiekunka do starszej osoby. Nie była do końca przekonana, czy poradzi sobie w tej roli, ale gdy dowiedziała się, o kogo chodzi, była bardzo podekscytowana i postanowiła spróbować. Jej nowy podopieczny mieszkał w starej, przedwojennej willi ukrytej wśród drzew na Pańskiej Górze. Dom, a raczej krążące o nim legendy, zawsze pobudzały jej wyobraźnię. Gdy była małą dziewczynką, wypatrzyła go wśród drzew, wędrując z mamą zielonym szlakiem na Leskowiec. Już wtedy zakochała się w domu z wieżyczką. Marzyła o tym, by móc zamieszkać w zamku. Jedną z opowieści, które słyszała w szkole od koleżanek, mówiła, że ten dom zbudował przed wojną pewien hrabia, który przybył z daleka. Jego żona zmarła przy porodzie, a on nigdy nie ożenił się powtórnie, całą swą miłość przelewając na córkę. Oszałał z rozpacz, gdy Emilka poważnie zachorowała. Przywiózł ją do Andrychowa, miasteczko słynące z sanatorium, które specjalizowało się w leczeniu gruźlicy. Ponieważ lekarze zapowiedzieli długotrwałe leczenie, mężczyzna postanowił zamieszkać tu na stałe. Rozpoczął budowę domu, której niestety nie ukończył. Emilka mimo wszelkich wysiłków medyków zmarła. Hrabia z rozpacz zastrzelił się w swym gabinecie. Od tej pory w willi zaczęło straszyć. Podobno w nocy było słycać tam krzyki

i płacz zrozpaczonego ojca wołającego imię córeczki. Spadkobiercy usiłowali dokończyć budowę domu, jednak ekipy remontowe, jedna za drugą rezygnowały z pracy. W czasie wojny dom chcieli zagospodarować Niemcy, ale i oni, jak szybko przyszli, tak szybko się wynieśli. Dom popadł w zapomnienie, zarosły go liczne krzaki i drzewa. Stał tak, niszcząc, aż do lat dziewięćdziesiątych. Przez ten czas krążące o nim opowieści urosły do rangi legendy. Nazwano go „przeklętym dworem”. Kiedy zjawił się nowy właściciel, każdy zastanawiał się, kim on jest. Może to potomek hrabiego? Niestety, plotki donosiły, że to jeden z byłych partyjnych prominentów ukrył się przed ludźmi, by w spokoju żyć na emeryturze. Ewa była trochę rozzarowana, bo nowy gospodarz wyremontował tylko wnętrze domu i to, co było konieczne do jego zamieszkania, czyli dach i okna. Nie dokończył budowy drugiej wieżyczki. Dom nadal był okaleczony. A tak bardzo chciała zobaczyć zameczek w pełnej krasie. Za to dookoła domu zaczął wyrastać piękny ogród. Nie był zbyt wymuskany, raczej robił wrażenie trochę dzikiego i tajemniczego, ale od razu przypadł Ewie do gustu. Wiosną zawsze pachniał bzem i jaśminem. Latem królowały w nim pnące róże w odcieniach różu i czerwieni. A jesienią otulały go kolorowe liście klonu, dębu i sumaka. Właściciel nie był osobą towarzyską, nikt go nie odwiedzał, z nikim nie utrzymywał kontaktów. Mówiono o nim dziwak albo gbur. Podobno natrętów wyrzucał z domu, był opryskliwy i niemiły, kiedy ktoś zakłócał mu spokój. Ewa trochę się bała, gdy naciskała dzwonek przy furtce. Postać gniewnie

patrząca na nią przez okno spotęgowała ten strach. Po chwili dobiegł do niej z głośnika domofonu zniecierpliwiony głos, pytający, czego chce. Gdy wytłumaczyła, o co chodzi, rozległ się dźwięk otwieranych drzwi. Weszła do domu i stanęła przed właścicielem „przekłętego dworu”. Pan Józef wcale nie wydawał się taki straszny, jak donosiły plotki. Miał około osiemdziesięciu lat albo i więcej, był wysoki, (choć nieco przygarbiony) i przystojny jak na swój wiek. Poruszał się z trudem.

– Mam nadzieję, że nie boi się mnie pani? – spytał z iskierkami w oczach.

Ewa odetchnęła z ulgą, widząc jego uśmiech i słysząc zdecydowany, ale łagodny głos.

– Niech pani nie wierzy plotkom, nie jestem mordercą ani wampirem, bo tak chyba wołają na mnie niektóre dzieci. – Ewa zaczerwieniła się, bo sama słyszała, jak Mateusz kiedyś opowiadał jej o spotkaniu prawdziwego wampira. Było to co prawda już kilka lat temu, jednak zrobiło się jej gorąco na to wspomnienie.

– Niestety, reumatyzm nie pozwala mi już na robienie wielu rzeczy. Dlatego zmuszony jestem kogoś zatrudnić do pomocy.

Szybko udało im się ze sobą porozumieć co do obowiązków Ewy i wynagrodzenia, które nie było zbyt wysokie, ale jak dla niej wystarczające. Pan Józef na ogół był w całkiem dobrej formie, nie licząc dni, kiedy reumatyzm dawał się mu mocniej we znaki. Potrzebował pomocy przy prowadzeniu domu, zakupach i przy zajmowaniu się ogrodem, który był jego pasją. Jednak najbardziej był złaźniony



czyjegoś towarzystwa, choć do tego Ewie nigdy się nie przyznał. Praca u pana Józefa była dla niej chwilą odpoczynku od problemów w sklepie i w rodzinie. Mimo że obowiązków było sporo, bo dom na początku wymagał wiele wysiłku, by doprowadzić go do porządku, to jednak miła atmosfera i spokój tego miejsca sprawiały, że Ewa czuła się odprężona i mniej spięta. Po całym dniu spędzonym w delikatesach z uśmiechem wchodziła do „zamku”, gdzie czekała na nią gorąca zupa ugotowana przez pana Józefa, który odkrywał przed nią coraz więcej swoich zalet. Obiad stał się ich wspólnym rytuałem. Czasami, gdy uwinęła się ze sprzątaniami nieco szybciej, zasiadali razem przy herbacie i rozgrywali partię szachów, których zasady cierpliwie tłumaczył jej pan Józef.

Ocknęła się z zamyślenia, woda w wannie zrobiła się chłodna, sięgnęła więc po ręcznik i wyszła z kąpeli. Stała przed lustrem. Patrzyła na nią obca kobieta z bladą twarzą, podkrążonymi oczami i wychudzonym ciałem. Dotknęła ręką lewej piersi, nie była już taka sprężysta jak kiedyś. Odkąd, przerażona, odkryła zgrubienie pod palcami, unikała dotykania się w tym miejscu. Irracjonalny lęk. To było obce ciało w jej ciele, intruz, który pojawił się w najmniej spodziewanych okolicznościach. Pragnęła, żeby jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki po prostu zniknął. Niestety, guz nadal tkwił w tym samym miejscu i wydawał się jej jeszcze większy niż przed kilkoma dniami. Do dziś słyszała prośbę umierającej matki, aby dbała o siebie i często robiła badania kontrolne. Przyrzekła wtedy, że będzie czujna i nie da



się zaskoczyć chorobie, którą mogła być genetycznie napiętnowana. Przez kilka pierwszych lat regularnie, co miesiąc, dokładnie badała piersi. Potem, gdy pojawiły się dzieci, dodatkowe obowiązki i problemy, coraz rzadziej pamiętała o samokontroli. Ciągłe zabiegana, wieczorami marzyła, by jak najszybciej znaleźć się w łóżku i zasnąć. Zasypiała, myśląc, co należy zrobić następnego dnia. Kontrola piersi zawsze była na liście rzeczy ważnych i zawsze kończyło się na przekładaniu tego na dzień następny. W końcu zupełnie o tym zapomniała. Aż pewnego dnia, przy zakładaniu biustonosza Ewa zwróciła uwagę na nierówność wyczuwalną pod palcami na jednej z piersi. Od pierwszej chwili wiedziała, co to jest. Mimo własnej diagnozy nie tak szybko poszła do specjalisty. Nie chciała usłyszeć wyroku, łudziła się, że to nic takiego i bagatelizowała całą sprawę przed samą sobą. Nie powiedziała mężowi ani dzieciom o guzie. Nie chciała ich informować, zanim lekarze nie potwierdzą jej przypuszczeń. Najbardziej bała się reakcji dzieci. Mimo że ich wspólne relacje nie były już takie jak kiedyś, to jednak wciąż była ich matką. Wiedziała, że nadal jest dla nich ogromnie ważna. Te wszystkie scysje i awantury, liczne problemy, oddalenie, brak czasu na wspólne rozmowy i bycie ze sobą, na szczęście nie zdołały zniszczyć wciąż mocnych więzi.

Przeczuwała, że kiedyś nadejdzie ta chwila i zachoruje na raka tak jak jej mama i babcia. Miała jednak nadzieję, że nastąpi to później, dużo później. Niestety, stała przed kolejnym zakrętem w swoim życiu, być może ostatnim. Nie bała się śmierci, bała

się o tych, których mogłaby tu zostawić. Dodatkowo przygnębiała ją myśl o braku jakichkolwiek pieniędzy gwarantujących jej dzieciom dobry start w dorosłe życie. Nie mogła liczyć w tej kwestii na męża. Zresztą, o niego bała się tak samo albo i bardziej. Wiadomość o jej chorobie może go zdruzgotać. Przecież to ona zapewniała mu oparcie w każdym względzie, także finansowym. Piotr może nie wytrzymać psychicznie i jego stan się pogorszy. Od kilku lat przerażała ją myśl, że mąż może targnąć się na swoje życie. Już wcześniej próbował to zrobić.

Piotr był kiedyś dla niej najważniejszą osobą, bez niego nie wyobrażała sobie życia. Był czuły, opiekuńczy, zaradny, pełen pasji i energii. Choroba zmieniła go w kogoś zupełnie innego. Dawniej rozmawiali ze sobą bez końca, zarywali noce, by wymienić się swoimi spostrzeżeniami, podzielić wrażeniami z całego dnia. Teraz unikali się nawzajem. Piotr, w dni, kiedy miała trochę więcej czasu, po prostu uciekał z domu, wychodził, nie mówiąc, dokąd idzie. Ich relacje ograniczały się do zdawkowych pytań i lakonicznych odpowiedzi albo przemilczeń. Nawet spali w oddzielnych łóżkach. Żyli obok siebie. Ewa na początku starała się walczyć o ich związek, ale po jakimś czasie przestała. Nie miała już sił. Wystarczyło, że sama musi się zmagać z rzeczywistością. Piotr, mimo że miał sporo czasu, nie zajmował się domem, był tak pogrążony w swoich myślach, że nawet zapominał o własnych potrzebach. Gdyby nie żona, już dawno przestałby cokolwiek jeść. Tylko ciałem był z rodziną, bo duch był daleko, za daleko jak dla niej.

Dzieci zaakceptowały zachowanie ojca i lepiej sobie radziły niż ona z tą dziwną separacją. Nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, czy jeszcze kocha Piotra? Nie czuła nic oprócz zmęczenia. On po prostu był w jej życiu. Na początku tęskniła za nim, za jego bliskością, domagała się jej, ale on odsuwał się od niej, raniąc jej uczucia. Czuła się odtrącona i upokorzona tym, że musiała zebrać o miłość.

Otrząsnęła się z tych bolesnych rozważań, musiała postanowić, co dalej robić. Ubrała się i wysuszyła mokre włosy. Dochodziła szósta. Wyjrzała przez okno, na szczęście deszcz przestał padać. Na wszelki wypadek włożyła jednak kalosze. I tak nie miała innych butów, bo baleriny już do niczego się nie nadawały. Wzięła z półki stary parasol Piotra, już mocno sfatygowany, z powyginanymi drutami, ale wciąż spełniający swoje zadanie i wyszła z domu. Postanowiła pójść tam, gdzie od wielu lat szukała ciszy i spokoju, gdzie mogła wszystko przemyśleć, gdzie wracała do niej utracona energia.

## ROZDZIAŁ 4

Widziałem ją, jak wychodzi z bloku, przeszła obok, w ogóle mnie nie zauważając. Jej spojrzenie błędziło gdzieś bardzo daleko. Ewa zawsze była szczupła, ale teraz była wręcz chuda. Jak to się stało, że tego nie zauważyłem? Przez ostatnie lata nie tylko to, niestety, mi umknęło.

Instynktownie poszedłem za nią jak za przewodnikiem stada, nie zastanawiałem się, po co to robię. Coś mnie ciągnęło. Nie chciałem do niej dołączyć, bo już nie potrafiłem z nią rozmawiać, ani z nią, ani z dziećmi, ani z nikim. Chciałem być blisko Ewy, czułem się wtedy bezpiecznie. Nie umiałem i bałem się być z żoną tak jak dawniej, wtedy, gdy byliśmy tacy szczęśliwi i zakochani. Teraz widziałem w jej spojrzeniu rezygnację i pogardę. Zawiodłem ją.



Jej roześmiane oczy koloru niezapominajek urzekły mnie od pierwszego spotkania. Potem już tylko pragnąłem tonąć w tym błękitcie każdego dnia. Nasze spotkanie było dla mnie istnym objawieniem. W czasie studiów w Krakowie mieszkałem w akademiku, dzieląc pokój z Dominikiem – fascynatem wspinaczki skałkowej. Dzięki niemu również i ja

połknąłem bakcyła. Każdą wolną chwilę, począwszy od wczesnej wiosny po późną jesień, spędzaliśmy na Skałkach Twardowskiego albo w dolinkach, najczęściej w Kobyłańskiej lub Będkowskiej.

I przyszedł w końcu ten najpiękniejszy maj w moim życiu. Wciąż pobrzmiewają mi słowa Józka Barana, które sączyły mi się do ucha każdego wieczoru, gdy zasłuchany usiłowałem zgłębiać tajniki ekonomii.

*...a teraz maj i maj i maj  
dokoła się święci  
od wonnych bzów szalonych bzów  
wprost w głowie się kręci  
(...)  
i wielka jest majowa moc  
kiedy niebo się do ziemi uśmiecha  
śpi w twoim wnętrzu chłopiec  
w chłopcu pierwszy zachwyty poznaje.*

I właśnie pewnego majowego popołudnia wspinałem się na najwyższą ze skał, z której rozciągał się cudowny widok na szmaragdową toń Zakrzówka oraz panoramę Krakowa. Gdy z trudem usiłowałem postawić stopę na szczycie, usłyszałem krzyk i hałas. Spojrzałem w górę i zobaczyłem dość dziwny widok kobiecych nóg, próbujących wydostać się spod drewnianego stelaża.

– Będiesz się tak gapił czy mi pomożesz? – otrzeźwił mnie trochę zniecierpliwiony głos właścicielki zgrabnych nóg.

Oprzytomniałem, wygramoliłem się na skałę i podbiegłem do dziewczyny. Stelaż okazał się sztalugą malarską. Pod nim na soczyście zielonej trawie leżała bajecznie kolorowa rusałka o długich kasztanowych włosach.

– Gdybym potrafił malować, powstałby piękny obraz o niesamowicie nasyconych barwach – powiedziałem, patrząc w chabrowe oczy.

Złość malująca się na twarzy dziewczyny ustąpiła rozbawieniu. Zaczęła się dźwięcznie śmiać.

– No tak, to musi wyglądać całkiem zabawnie – powiedziała, już bez pretensji w głosie.

Pomogłem jej wstać i dopiero wtedy oszacowałem straty. Barwne plamy na jej żółtej sukience, które wziąłem za wzór tkaniny, okazały się farbą ze zdewastowanego obrazu.

– Przepraszam, to moja wina. Powinienem doraabiać w horrorach, skoro tak dobrze wychodzi mi straszenie.

– Możesz to zaliczyć jako unikalny talent – odrzekła i skupiła się na zniszczonym obrazie. – Z tego już nic nie będzie. – Potargała papier bez chwili zastanowienia.

– Masz za to wierną kopię na sukience. – Wskazałem nieśmiało na plamy, niepewny jej reakcji.

Na szczęście znów usłyszałem jej perlisty śmiech, odetchnąłem z ulgą i zawtórowałem jej moim basem. Nagle niebo przeszły błyskawica i rozległ się potężny grzmot. Zacząłem zbierać pospiesznie sprzęt i pakować go do plecaka. A ona stała jak urzeczona, wpatrując się w niebo. Potem szybko rozłożyła

sztalugę i zaczęła malować. Kończyłem pakowanie swoich rzeczy, patrząc na malarkę, która pochłonięta była tworzeniem swojego dzieła. Dookoła nas grzmiało i błyskały błyskawice, a ona niewzruszona pracowała niczym w transie. Jej ruchy pędzlem były wprawne i zdecydowane, niewiele też zastanawiała się nad wyborem kolorów. Burza, nie spiesząc się, krążyła wokół nas, prezentując pełen groźnych pomruków, elektryzujący spektakl. Chmury przybierały coraz to inne kolory: od jasnego popielu poprzez granat do ciemnej stali. Niczym dumny paw majestatycznie wkraczały nad królewskie miasto. Zanim pierwsze krople spadły pod nasze stopy, obraz był prawie gotowy. Nie mogłem odróżnić, gdzie kończy się namalowany przez Ewę pejzaż, a gdzie zaczyna rzeczywistość.

– Nie boisz się? – spytałem, gdy ze spokojem dokonywała ostatnich poprawek.

– Jestem wiedźmą z gór. Niczego się nie boję. – Roześmiała się.

– Jak na wiedźmę zbyt często się śmiejesz – zawołałem, pokonując świst wiatru, który zaczął przybierać na sile. Tym razem grzmot rozległ się równocześnie z błyskawicą, co oznaczało, że burza wisi nad nami.

– Chyba czas na nas – mruknąłem niepewnie, bo nie chciałem wyjść na tchórza.

– Raczej tak.

Farby razem z pędzlem wrzuciła do pojemnika. Chwyciła sztalugę i zaczęła schodzić z boczem w stronę lasu. Pobiegłem za nią. Patrzyłem, jak

zgrabnie się porusza, balansując ciałem tuż nad przepaścią, na której dnie mieniły się odcieniami ciemnej zieleni wody zalewu. Schroniliśmy się w szczelinie skalnej. Tam przeczekaliśmy nawałnicę, która na moje szczęście trwała bardzo, bardzo długo. Choć czas w towarzystwie Ewy minął mi niezwykle szybko. Zdążyliśmy poznać się nieco bliżej. Wiedziałem już, że Ewa studiuje na pierwszym roku turystyki na AWF-ie, co mnie trochę zdziwiło, bo wziąłem ją za studentkę ASP. Wyznała, że ma dwie pasje – podróże i malowanie.

– Jestem łowcą burz – mówiła o sobie. – Chcę uchwycić grozę i piękno natury w trakcie przeszywających niebo błyskawic i gwałtownych porywów wiatru. Chmury i światło, które przez nie przenika, potrafią wydobyć ukryte walory każdego, choćby banalnego krajobrazu. Wszystko nabiera nowych kształtów, a przez to robi się takie tajemnicze i groźne zarazem. To nie to samo miejsce, które widzimy w pogodny, słoneczny dzień.

Tłumaczyła mi to z taką pasją, że słuchałem jej zafascynowany. Z każdym jej słowem nabierałem pewności, że to Ta, na którą czekałem.

Na myśl przyszedł mi tekst Bolesława Leśmiana, który utkwiał mi w pamięci jeszcze w czasie przygotowań do matury.

*Coś srebrnego dzieje się w chmur dali.*

*Wicher do drzwi puka, jakby przyniósł list.*

*Myśmy długo na siebie czekali.*

*Jaki ruch w niebiosach! Słyszysz burzy świst?*



Udało mi się ją namówić na sprezentowanie mi obrazu, który rozłożony na sztaludze zdążył wyschnąć. W ramach rewanżu za prezent, no i oczywiście przeprosin za całą katastrofę, zaprosiłem ją na wypad do Doliny Kobylańskiej.

– W sobotę też zapowiadają burze, więc weź to, czego potrzebujesz. – Mrugnąłem przy tym porozumiewawczo. – Będę czekał na dworcu pod zegarem.

I tak zaczęły się nasze wspólne plenery malarskie połączone ze wspinaczką. Ewa rozkładała sztalugę i z pełnym skupieniem oddawała się sztuce tworzenia pejzaży. Ja z Dominikiem i pozostałymi zapaleńcami wspinałem się na skały. Po cichu liczyłem na to, że zaimponuję Ewie moją sprawnością i tężyzną fizyczną, ale ona była pochłonięta swoją pasją i nie zwracała na mnie uwagi. W czasie odpoczynku zostawiałem moje roześmiane towarzystwo i zanosilem Ewie przygotowany naprędce na butli gazowej improwizowany obiad. Nic szczególnego, był to przeważnie podgrzany bigos albo jakaś zupka z torebki. Zawsze witała mnie z uśmiechem i częstowała jagodziankami. Mówiła, że to jej firmowe ciasto. I miała rację, nigdy nie jadłem tak dobrych drożdżówek. Potem pomagałem jej zbierać cały malarski majdan i dołączaliśmy do grupy. Tam reszta amatorów wspinaczki delektowała się drożdżowym specjałem, a ja wprowadzałem Ewę w arkana sztuki wznoszenia się na wyżyny – jak żartobliwie nazywaliśmy nasze hobby. Moja podopieczna okazała się bardzo zdolną uczennicą. Po kilku takich eskapadach mogła uchodzić za profesjonalistkę. Nie dziwiło mnie to ani trochę. W końcu była wiedźmą z gór.

Gdy samotnie siedzieliśmy na szczycie dopiero co zdobytej skały, po wyrażeniu achów i ochów na temat pięknych widoków rozciągających się pod naszymi stopami, mogliśmy spokojnie porozmawiać. A rozmawialiśmy o wszystkim. Najczęściej wymienialiśmy poglądy polityczne i ocenialiśmy sytuację w kraju, w którym na naszych oczach zmieniała się historia. To był czas, kiedy po obradach Okrągłego Stołu miało dojść do pierwszych wolnych wyborów parlamentarnych. Ewa była bardzo poruszona, jej rodzice byli kiedyś zaangażowani w działalność opozycyjną. Rzadko mówiliśmy o nas samych. O niej wiedziałem tylko tyle, że mieszka gdzieś w Beskidzie Małym, bo często wspominała o wędrownkach po Leskowcu. Wywnioskowałem też, że mieszka sama z mamą, a w Krakowie ma pokój u ciotki na Sławkowskiej. Nie pytałem, bo nie było to dla mnie wtedy takie istotne. Czekałem, aż sama zacznie opowiadać o sobie i rodzinie. Nie nazywaliśmy też tego, co nas łączyło. Bałem się poruszyć ten temat, by niczego nie zepsuć. Uczucie, które powoli się w nas rodziło, było jeszcze zbyt ulotne. Ewa była jak wielobarwny motyl – piękny, ale bardzo delikatny i płochliwy, w każdej chwili mógł zatrzepotać skrzydełkami i odfrunąć. Nawet żartowałem z niej, że żadna z niej wiedźma, co najwyżej wiedźminka. Dałem jej czas, aż będzie gotowa na to, co chcę jej zaoferować. Od pierwszego naszego spotkania byłem pewny, że z tą kobietą chcę spędzić całe życie. Nie spieszyłem się więc z wyznaniem miłości, tylko cierpliwie otaczałem dyskretną opieką. W czasie letniej sesji urwały się

nasze wspólne eskapady. Umówieni byliśmy na wypad do Wąwozu Bolechowickiego tuż po zdaniu ostatnich egzaminów, ale Ewa się nie zjawiała. Byłem na siebie wściekły, że nie wziąłem od niej adresu albo numeru telefonu. Zresztą nie każdy wtedy miał telefon domowy, a co dopiero mówić o komórkach, które przypominały raczej wielkie, ciężkie cegły. O możliwościach internetu nikomu w Polsce, która wychodziła z bloku komunistycznego, nawet się nie śniło. Na uczelni udało mi się zdobyć jej krakowski adres. Jednak, gdy zjawiłem się pod wskazanym numerem na ulicy Sławkowskiej, okazało się, że starsza pani, która tam mieszka, wyjechała na pół roku do syna w Niemczech. Nie mogłem dłużej tkwić w Krakowie. Na Mazurach czekała na mnie stęskniona babcia Amelia, która potrzebowała mojej pomocy w gospodarstwie i przy letnikach wypoczywających w naszym domu w Stańczykach. Do Krakowa wróciłem z końcem września z nadzieją, że spotkam Ewę wraz z rozpoczęciem roku akademickiego. Zdobyłem rozkład zajęć drugiego roku turystyki i cierpliwie czekałem przed AWF-em. Zarwałem dwa pierwsze tygodnie wykładów. Nie zjawiała się. Nikt nie wiedział, dlaczego. Egzaminy miała pozdawane na same piątki. Ewa nie utrzymywała z nikim kontaktów. W desperacji wyruszyłem na beskidzkie szlaki, licząc na to, że gdzieś ją spotkam. Spędzałem w górach każdy weekend, ale bezskutecznie. Pod koniec listopada wyruszyłem na ostatnią jesienną wędrowkę. Już dawno było po sezonie, ale za nic na świecie nie chciałem się poddać, to byłaby porażka. Na Groniu zastała mnie śnieżycą i musiałem zejść ze szlaku.

Wędrowałem z Rzyk do Andrychowa w strugach deszczu ze śniegiem. Nikt nie chciał zabrać mnie na stopa. Na dworzec w Andrychowie dotarłem przemoknięty i przemarznięty do szpiku kości, w dodatku głodny jak wilk. Wszedłem więc do sklepu, aby kupić coś do jedzenia. I tam zobaczyłem moją Ewę, jak w białym kitlu sprzedawczyni obsługuje klientów. Ledwie ją poznałem. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu w kucyk, a zmęczone oczy zupełnie straciły swój chabrowy blask. Teraz były szare i smutne. Chciałem przeskoczyć ladę i niczym księżę porwać ją na karym koniu do swego zamku, by żyła ze mną długo i szczęśliwie. Problem w tym, że nie miałem swojego zamku, bo trudno by nim nazwać maleńki pokój w akademiku dzielony z Dominikiem. O bogactwie nawet mi się nie śniło. Stałem w kolejce, nie wiedząc, co mam powiedzieć dziewczynie, którą bezgranicznie pokochałem i której tak długo poszukiwałem. Całe powietrze ze mnie uszło. Zmęczenie i wychłodzenie dało o sobie znać. Zacząłem dygotać. W końcu Ewa na mnie spojrzała. W mgnieniu oka dokonała się w niej cudowna przemiana. Wystarczyło, że na jej twarzy pojawił się uśmiech niedowierzania, by w niebieskich oczach znów rozbłyły znajome ogniki. Szepnęła coś koleżance do ucha, wyszła zza lady, chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła na zaplecze. Nie oponowałem. Gdy zamknęły się za nami drzwi, Ewa wtuliła się we mnie z całych sił. Poczułem ciepło jej delikatnego ciała i łzy na mojej twarzy, nie wiedziałem, czy były moje, czy jej. To ona zaczęła całować moje oczy i zmarznięte policzki.

– Już myślałam, że nigdy cię nie zobaczę – mówiła, nie przerywając muskania mnie ustami po twarzy.

W końcu oprzytomniałem i otoczyłem ją ramionami, z całym dotąd nieznanym mi żarem przywarłem do jej ust, które tylko na to czekały. Trwaliśmy tak przez dłuższą chwilę, aż ktoś otworzył drzwi, które boleśnie wbiły mi się w plecy. Odskoczyliśmy od siebie jak dzieci przyłapano na gorącym uczynku. Koleżanka poinformowała Ewę, że może iść do domu, po czym porozumiewawczo do niej mrugnęła. Ewa pospiesznie zdjęła fartuch, chwyciła kurtkę i wybiegła tylnym wyjściem, ciągnąc mnie za sobą. Wtuleni szliśmy przez zamieć do jej niewielkiego mieszkania w bloku. Niewiele mówiliśmy tej nocy, daliśmy upust naszej tęsknocie, minionej rozpacz, a w końcu miłości i pożądaniu. Gdy się obudziłem, nie wiedziałem, czy to działo się naprawdę, czy to tylko moje senne marzenie. Niejeden raz wyobrażałem sobie nasze spotkanie, ale nie przypuszczałem, że będzie aż tak namiętne. Teraz spełniony leżałem blisko niej, wpatrywałem się w jej śpiącą sylwetkę i wsłuchiwałem w cichy, miarowy oddech. Przy śniadaniu, które składało się z mleka i kanapek z żółtym serem, opowiedziała mi, dlaczego musiała tak nagle opuścić Kraków. Pod koniec czerwca dowiedziała się o chorobie matki. Rak piersi zaatakował niespodziewanie i bardzo szybko wyniszczył organizm kobiety. Natychmiast po zakończeniu egzaminów Ewa wyjechała, by opiekować się mamą. Szukała pomocy u wielu lekarzy w Bielsku i Krakowie, była także na konsultacjach w Warszawie. Niestety, nikt nie dawał nadziei, bo choroba była

bardzo zaawansowana. Mama była jej jedyną bliską rodziną. Dziadek marynarz właśnie odbywał swój pożegnalny rejs do Ameryki Południowej. Babcia od kilku lat nie żyła. Zmagąca się z tą samą chorobą, co teraz jej córka. Rodziców swojego taty nie poznała nigdy, bo oboje zginęli w Powstaniu Warszawskim, a przybrana ciocia Gienia, która go wychowywała, dawno wyjechała za granicę. O tacie nie wspominała. Sama więc musiała się zmierzyć z wszystkimi problemami, tymi ważnymi i tymi prozaicznymi. Mama Ewy była bardzo osłabiona po chemioterapii, potrzebowała troski i opieki. Niestety, leki i odżywki, które zalecali lekarze, były bardzo drogie, bo musiały być ściągane z zagranicy. Poza tym Ewa szukała pomocy także u znachorów i bioenergoterapeutów, z rozpaczą czepiała się wszystkiego. Cudowne soki, które miały przywrócić zdrowie i specyfiki o nadzwyczajnych właściwościach, dawały tylko chwilę ułudy. Działały jedynie na wyobraźnię chorych i ich rodzin. Te nieuczciwe praktyki ludzi, którzy wykorzystywali nieuleczalnie chorych do zbitcia majątku, mierzyły mnie i napawały obrzydzeniem. Szybko więc stopniały oszczędności matki Ewy trzymane w banku na „lepszy start” dla córki i na „czarną godzinę”, która niestety nadeszła zbyt szybko. Ewa jednak bez wahania sięgnęła po te pieniądze, by zapewnić mamie odpowiednie leczenie. Podjęła także pracę w sklepie, bo o studiach w tym momencie nie mogło być mowy. Z trudem godziła opiekę nad chorą matką z obowiązkami ekspedientki, sprzątaczk i magazynierki w delikatesach. Na szczęście kierownikiem sklepu był dobry

znajomy, który skrycie kochał się w jej matce. Pan Mieczysław w trakcie choroby pani Marii pomagał Ewie, jak mógł, często zwalniał ją z pracy, by mogła pojechać do szpitala w Krakowie, gdzie leczyła się jej mama. Byłem wściekły, że nie mogę pomóc Ewie finansowo. Gdy wróciłem do Krakowa, znalazłem pracę jako stróż nocny, a popołudniami dorabiałem korepetycjami. Uczyłem się w stróżówce, to tam powstawała moja praca magisterska. Z Ewą spotykałem się, gdy przyjeżdżała z mamą na leczenie. Waletowała wtedy w moim akademiku. Portierzy, znając jej sytuację, przymykali na to oko. Za to mogli się delektować pysznymi jagodziankami, które Ewa piekła dla mamy i połowy akademika. Uwielbiałem te krótkie chwile spędzone z nią w ciasnym pokoiku, zanim wyszedłem na nocną zmianę. Zajadałem się ciepłą drożdżówką, popijałem mlekiem i słuchałem kojącego głosu Ewy albo wpatrywałem się w jej twarz, gdy drzemała na moich kolanach. Widziałem, jak przeżywa chorobę matki, jak dusi w sobie wszystkie emocje i stara się nie poddawać rozpaczy. Każdą minutę dnia spędzała aktywnie, wypełniała czas praniem, gotowaniem, prasowaniem i pieczeniem jagodzianek. Bała się bezczynności, bo wiedziała, że wtedy jej uczucia mogą się wymknąć spod kontroli. Nie chciała okazywać nikomu swojej słabości, nawet mnie. Gdy rano wracałem z pracy, poduszka, na której spała, była mokra od łez. Nie wiedziałem, jak ją pocieszać, stan jej matki pogarszał się z dnia na dzień. Gdy nadeszło to, co nieuniknione, nie było mnie przy Ewie. Musiałem nagle wrócić do domu, by zaopiekować się babcią Amelią,



która wtedy, w maju, złamała nogę. Mój ojciec pracował w odległym Fromborku i nie mógł zwolnić się z pracy, bo budowa, którą prowadził, wkraczała w najtrudniejszy etap.

Babcia Amelia zawsze była dla mnie jak matka. Moja prawdziwa mama zostawiła mojego tatę dla innego mężczyzny. Początkowo wzięła mnie do siebie, ale gdy urodziła bliźniaki, wróciłem do taty. Nie umiałem odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Mama pochłonięta noworodkami nie zauważała mnie. Jako sześciolatek nie rozumiałem tego, czułem się zdradzony i oszukany. Moja decyzja była chyba na rękę matce. Nie walczyła o mnie, nawet nie starała się tego maskować. Nasze spotkania z miesiąca na miesiąc były coraz rzadsze i krótsze, aż w końcu stały się sporadyczne. Azyl znalazłem w ramionach babci Amelii. To ona stała się moją najbliższą i najważniejszą osobą na świecie.

Mama Ewy zmarła 31 maja 1991 roku. Gdy na początku czerwca wróciłem z Mazur, nie zastałem Ewy w akademiku. Zostawiła mi lakoniczną informację: „Mama zmarła. Wracam do Andrychowa”. Pojechałem za nią, zdążyła już pozałatwiać wszystkie sprawy związane z pogrzebem. Wyglądała jak cień – zapadnięte policzki, wyblakłe oczy, szara cera. Pozornie zachowywała się tak jak zwykle, wypełniała swoje codzienne obowiązki, ale myślami błądziła gdzieś daleko. Wszystko, co robiła, było pozbawione energii, prace wykonywała wolno i apatycznie, często zastygała w bezruchu ze wzrokiem utkwionym w jakimś niewidocznym punkcie. Nie płakała, skryła pod pancerzem wszystkie swoje emocje i uczucia.



Wiedziałem, że cierpi, ale nie umiałem jej pomóc. Uszanowałem jej potrzebę wyciszenia i izolacji. Jedyne, co mogłem zrobić, to być przy niej i czekać. Najgorsze jednak przyszło po tygodniu, gdy nagle u Ewy zaczęły się pojawiać ataki paniki. Cała wtedy drżała, głośno łapała każdy oddech, na jej twarzy malowało się przerażenie. Piekący ból przeszywał jej klatkę piersiową. Twierdziła, że w tych momentach czuje się tak, jakby coś zgniatało jej żebra, a żołądek skręcał się w twardą bryłę. Krzyczała, wzywała matkę i wyła z rozpacz. Gdy atak zdarzał się w czasie snu, nie mogłem jej dobudzić. Wszystko kończyło się spazmatycznym płaczem, na który tak długo sobie nie pozwalała. Albo, którego nie mogła z siebie wcześniej wydobyć. Wtedy mogłem służyć jej swoją pomocą, czułem, że jestem jej potrzebny. Ewa wtulała się w moje ramiona i szlochała, wylewając wraz ze łzami swój żal i tęsknotę za matką. Często znużona płaczem zasypiała, a ja delikatnie gładziłem jej włosy i szeptałem słowa otuchy. Ataki zdarzały się także w ciągu dnia. Powodem były wspomnienia, które głęboko skrywane, nagle przypominały o sobie w postaci apaszki pachnącej jeszcze perfumami matki, czy torebki, która niechcący wypadła z szafy.

Starłem się być przy niej przez cały czas. Zaliczenia i egzaminy udało mi się przełożyć na wrzesień. Wykładowcy okazali się bardzo wyrozumiali. Szybkimi krokami zbliżało się lato, dni były ciepłe i słoneczne. Zaczynał się sezon urlopowy. Babcia Amelia już nie raz dzwoniła z zapytaniem, kiedy przyjadę. Byłem jej niezbędny, bo po zdjęciu

gipsu miała problemy z poruszaniem się. A nasi stali goście, którzy przyjeżdżali do nas od lat, mieli pojawić się już niedługo. Babcia nie mogła i nie chciała odmawiać im gościny, byli dla niej jak rodzina. Chciałem, żeby Ewa pojechała ze mną, ona jednak nie chciała nawet o tym słyszeć. Byłem w sytuacji patowej. Nie mogłem Ewy zostawić samej, a babcia liczyła na moją pomoc. Kończyły mi się też pieniądze, bo w Andrychowie nie udało mi się znaleźć pracy. I tu nieoceniona okazała się Renata, przyjaciółka Ewy, której udało się przekonać ją do wyjazdu. Obiecała, że zajmie się grobem i mieszkaniem na czas naszego pobytu na Mazurach. Miałem wrażenie, że Ewa zgodziła się jechać tylko i wyłącznie dlatego, że czuła się winna wobec mnie. Wiedziała, że poprzekładałem egzaminy, rzuciłem pracę w Krakowie i brakowało mi pieniędzy. Właściciel sklepu zgodził się, żeby Ewa wyjechała, dał jej urlop i poratował nas finansowo, bo nie mieliśmy nawet na bilety. Pan Mieczysław zachował się naprawdę wspaniale. Na początku lipca, po wyczerpującej podróży przez cały kraj, dotarliśmy do mojej rodzinnej miejscowości.

Stańczyki są niewielką wsią położoną na skraju Puszczy Rominckiej. To prawdziwy koniec świata. Panuje tu cisza i spokój. Tylko latem miejscowość ożywa za sprawą letników i harcerzy, którzy mają swoją stanicę nad brzegiem jeziora. W pierwszych dniach po przyjeździe nie mieliśmy zbyt wiele czasu, by delektować się urokami przyrody. Pierwsi wczasowicze mieli pojawić się za kilka dni. Trzeba było doprowadzić do porządku pokoje gościnne i ogród.

Ewa pomagała mi we wszystkim, nawet zajęła się pieleniem ogródka warzywnego. Z każdym dniem widziałem dużą zmianę w jej zachowaniu. Na początku była nieśmiała i małowólna, pograżona w swych myślach. Sprawiała wrażenie nieobecnej i nieświadomej tego, gdzie jest i co robi. W miarę upływu czasu coraz chętniej angażowała się w pracę i nawet zaczęła wychodzić z propozycjami zmian w naszym domostwie. Bardzo zależało mi na tym, by najważniejsze kobiety w moim życiu umiały się ze sobą dogadać i polubić. Babcia Amelia dyskretnie obserwowała Ewę. Nie narzucała się jej, nie nagabywała pytaniami. Czekala, aż ona sama wyjdzie z inicjatywą.

Gdy sytuacja w domu i ogrodzie była opanowana, a letnicy zakwaterowani w pokojach, mogliśmy trochę odpocząć. Na szczęście nasi goście potrafili sami o siebie zadbać. Korzystali z kuchni lub stołowali się u harcerzy. Odpadało więc gotowanie – największa zmora. Rano i wieczorem sprawnie wywiązywaliśmy się z naszych obowiązków, by cały dzień spędzać na wędrówkach po okolicy. Ewa była zaskoczona pagórkowatym krajobrazem, poprzecinanym licznymi wąwozami i parowami, w których wiła się rzeczka Błędzianka. To dzięki polodowcowemu ukształtowaniu terenu rejon ten nosi nazwę Garbatych Mazur. Naszym ulubionym miejscem spacerów były oczywiście akwedukty. Mosty nieczynnej linii kolejowej należą do jednych z najwyższych w Polsce, sięgają trzydziestu sześciu metrów wysokości i dwustu metrów długości. Ich budowę rozpoczęto jeszcze przed pierwszą wojną światową.

Po wojnie, po linii Gołdap – Żytkiejmy – Gąbin kursowały regularnie pociągi, przywożąc w tę okolicę turystów, grzybiarzy, wędkarzy i narciarzy aż do 1943 roku. Potem Armia Czerwona rozebrała tory kolejowe i tak już pozostało. Jednak wiadukty można podziwiać do dziś. Ewa nie wierzyła, gdy mówiłem jej, że na Mazurach można zimą zjeżdżać na nartach, dopiero gdy zabrałem ją na Szewskie Wzgórza, uwierzyła. Teren uformowany przez morenę czołową zyskał jej uznanie. Jednak najważniejsza dla niej okazała się wycieczka rowerowa do Cisowego Jaru i Magicznego Jeziora. W czasie odpoczynku nad jeziorem opowiadałem jej legendy mazurskie. Najbardziej poruszyła ją legenda o rozdzielonych wodach Magicznego Jeziora, które wypływały w dwie różne strony. Puentą opowiadania była myśl, że wszystko, co rozłączone i tęskni za sobą, znów kiedyś się połączy, tak jak wody jeziora, które na północ uchodzą do dorzecza Pregoły a na południe do dorzecza Wisły, spotkają się ponownie w Bałtyku. Po wysłuchaniu gawędy Ewa wstała i powiedziała, że chce być przez chwilę sama. Długo stała nad brzegiem jeziora. Słyszałem jej cichy płacz i szept. Nie wiem, co mówiła w kierunku tafli wody, ale domyślałem się, że rozmawia z matką. Wróciła do mnie z rozpogodzoną twarzą i uśmiechem w oczach.

– Dziękuję – powiedziała i mocno się do mnie przytuliła.

Powoli, stopniowo nawiązywała się też nic porozumienia między nią a babcią Amelią. Często wieczorami zatapiały się w rozmowie, przy nieocenionej

nalewce z pigwy, domowej produkcji. Zmiana otoczenia, nowe obowiązki, wycieczki, mazurska legenda i cudowna „terapia” mojej babci zadziałały. Wróciła dawna Ewa. Coraz rzadziej nękały ją nocne koszmary i ataki nieuzasadnionej paniki w ciągu dnia. Pod koniec sierpnia wylegiwaliśmy się nad Małym Tobellusem. Ewa położyła głowę na moim torsie i zwierzyła mi się:

– Wiesz, potrzebowałam tego czasu spędzonego tutaj. Po śmierci mamy, tak jak to jezioro po wybuchu gazu błotnego zniknęło z powierzchni ziemi, ja ukryłam się głęboko w sobie. Potrzebowałam czasu. Zobacz, wody jeziora są kryształowe, muł i błoto opadły na dno. Ja też musiałam się przefiltrować. I jestem.

Rozumiałem, co miała na myśli. 31 maja 1926 roku wydarzyło się tu coś nieprawdopodobnego. Szalała wiosenna burza, ciśnienie atmosferyczne było bardzo niskie i to najprawdopodobniej było przyczyną wybuchu gazu błotnego, który wytworzył się z butwiejących roślin pod dnem jeziora. Jezioro na chwilę przed eksplozją pokryło się szlamem, a potem wybuch rozrzucił grudy ziemi i wodę na odległość kilkuset metrów. Przez ponad dwa miesiące jezioro przykrywała gruba warstwa błota. I chyba stąd wzięła się druga nazwa tego jeziora – Jezioro Przewrócone.

Nasz pobyt na Mazurach zakończył się z początkiem września. Ewa wróciła do pracy w sklepie, a ja przysiadłem nad książkami, aby zdać zaległe egzaminy. Nie miałem odwagi powiedzieć Ewie, że jestem wytypowany do stypendium zagranicznego.

Wszystko zależało od rezultatów egzaminów. W czerwcu nie wiedziałem, czy będę mógł pojechać do Edynburga ze względu na to, co się wydarzyło. Teraz, gdy Ewa doszła do siebie, uznałem, że mogę powalczyć o stypendium. Ewa, mimo moich obaw, przyjęła to całkiem spokojnie. Wiedziała, że oznacza to dla nas rozłąkę na co najmniej pięć miesięcy, ale rozumiała też, jakie to dla mnie ważne. Ona również miała swoje plany, zamierzała przez najbliższy rok pracować i odłożyć pieniądze, żeby móc wrócić na studia w następnym roku. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na wyniki egzaminów i decyzję uczelni. Wyjazd do Edynburga był dla mnie dużą szansą. W ciągu zimowego semestru mogłem odbyć staż w jednym z poważnych banków, a do tego uczestniczyć w wykładach i ćwiczeniach na uczelni. W czasie, gdy rodziła się polska demokracja i nowe podejście do ekonomii, stypendium na zachodzie było ewenementem, a właściwie cudem. I bardzo chciałem z tego skorzystać; wiedziałem, że da mi ono więcej niż całe cztery lata studiów. Zdobyte doświadczenie byłoby atutem przy szukaniu pracy. Pod koniec września dostałem powiadomienie o otrzymaniu stypendium. Szalałem z radości, Ewa cieszyła się ze mną, choć widziałem w jej oczach smutek i lęk.

W ostatni nasz wspólny weekend wyruszyliśmy na wędrowkę po Beskidach. Zatrzymaliśmy się w schronisku pod Groniem Jana Pawła II. To jedyny szczyt na świecie noszący imię papieża – Polaka. Schronisko nazywa się Leskowiec, a to dlatego, że taką nazwę dawniej nosił pobliski szczyt. Jednak,

gdy austriaccy geodeci i kartografowie przed I wojną światową kreślili mapy tego terenu, pomylili nazwy szczytów. Nazwę Leskowiec otrzymał szczyt, który wcześniej zwał się Beskidem, natomiast dawny Leskowiec nazwano Jaworzyną, a w 1981 roku jeszcze nieoficjalnie przemianowano go na obecną nazwę, tak bliską wszystkim Polakom – Groń Jana Pawła II. Trochę to zagnatwane, jednak nie bardziej, niż historia tych terenów.

Ewa opowiadała mi, że w pobliżu Łamanej Skały znajduje się ukryta pod wodospadem jaskinia – największa na tym terenie. Koniecznie chciałem ją zobaczyć. Przedzieraliśmy się przez las wąską ścieżką, gubiąc się co chwila. Jednak nasz trud został nagrodzony. Odnaleźliśmy niewielki strumyk, który miał doprowadzić nas do celu. Nagle struga wody zniknęła nam z oczu. Zeszliśmy ścieżką w dół i zobaczyliśmy ponad dwumetrowy wodospad, który zakrywał wejście do groty. Chwyciłem Ewę za rękę i ostrożnie weszliśmy do jaskini utworzonej w skalnej niecce, przykrytej od góry ogromnym płaskim głazem. Grota okazała się dość wysoka, miała około dwóch metrów wysokości i sięgała kilkanaście metrów w głąb wnętrza skały. Od początku naszej wyprawy szedłem tu z jednym zamiarem, chciałem poprosić Ewę, aby została moją żoną. Była zaskoczona, gdy zobaczyła, że klękam i wyjmuję mały, złoty pierścionek. Nie brałem pod uwagę tego, że może mi odmówić. A jednak... Widziałem, że się zdenerwowała. Nie była gotowa na moją propozycję. Poprosiła, bym wstał. Nie chciała wprost odpowiedzieć na zadane pytanie. W końcu usłyszałem,



że nie chce teraz podejmować tak ważnej decyzji. Chciałaby poczekać z rozmową na ten temat do mojego powrotu ze Szkocji. Teraz wiem, że powiedziała to tylko ze względu na mnie. Nie chciała, żebym miał wobec niej jakieś zobowiązania. Tak naprawdę bała się tego, co przyniesie przyszłość. Czy wrócę ze stypendium i czy moje uczucie do niej przetrwa czas rozłąki? Ale wtedy, w jaskini, byłem rozczarowany i wściekły. Moje ego ucierpiało...

Wyjechałem i przez kilka pierwszych tygodni nie odzywałem się do Ewy – nie dzwoniłem, nie pisałem listów. Jednak z czasem złość ustąpiła miejsca tęsknocie. Wokół mnie działo się tyle ekscytujących rzeczy, po raz pierwszy byłem za granicą i wszystkim się zachwyciłem. To był zupełnie inny świat. Sklepowe półki wypełnione po brzegi, mili urzędnicy, punktualne autobusy. I brak absurdów. Chciałem się z kimś podzielić moimi wrażeniami, a tym kimś mogła być tylko Ewa. W końcu zadzwoniłem. Nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę. Było mi wstyd za moje zachowanie, jednak Ewa ucieszyła się z mojego telefonu, słowem nie wspomniała o naszym ostatnim spotkaniu, jakby w ogóle nic między nami nie zaszło. Odetchnąłem z ulgą. Odtąd dzwoniłem regularnie raz w tygodniu. Nie mogłem pozwolić sobie na długie rozmowy, bo musiałem oszczędzać, żeby starczyło mi na utrzymanie. Czas w ciągu dnia biegł, a właściwie galopował. Poznawałem tylu ciekawych ludzi, uczyłem się mnóstwa nowych rzeczy, wchodziłem w arkana bankowości, jakiej w Polsce dotąd nie znano. Jednak bezsenne noce dłużyły mi się w nieskończoność. Brakowało mi Ewy. Nieraz



miałem pokusę, by rzucić staż i przyjechać choć na kilka dni do Polski. Świt przywracał mi trzeźwość myślenia i znów porywał w wir nowych obowiązków, by wieczór mógł rzucić mnie w ramiona tęsknocie i marzeniom. Funkcjonowałem tak przez długie pięć miesięcy.

Z ogromną ulgą wracałem do kraju, do mojej Ewy. Nawet przez chwilę nie pomyślałem, że może być już nie moja. Uświadomiłem to sobie, jadąc autobusem do Andrychowa i przeraziłem się. W naszych rozmowach nic nie wskazywało na to, że Ewa może być z kimś związana, ale o nas również nie mówiliśmy. Nie padły żadne deklaracje ani wyznania. To był taki czysto przyjacielski układ. Na miękkich nogach wysiadłem z autobusu i niecierpliwie rozglądałem się za Ewą. Stała niedaleko przystanku, ubrana w jasny płaszcz, spod którego wychodziła żółta falbana sukienki. Podeszliśmy do siebie powoli, nie wiedząc, jak się przywitać. W końcu nie wytrzymałem i wziąłem ją w objęcia. Usłyszałem jej dźwięczny śmiech i z ulgą wypowiedziane słowa: „Nareszcie”. Jeszcze tego samego dnia musiałem wrócić do Krakowa. Czekały na mnie obowiązki na studiach. Musiałem dokończyć pracę magisterską i zdać relację z praktyk. Przez najbliższe kilka tygodni tylko tym się zajmowałem.

Gdy uporałem się ze wszystkim, jak na skrzydłach pofrunąłem do Ewy. Był maj, trochę deszczowy i pozornie nieprzypominający wiosny, ale przyroda, nie próżnując, przygotowywała się do lata. Wreszcie nadeszły słoneczne dni, świat zmienił się jak za dotknięciem czarowanej różdżki. Intensywność

barw potęgowana blaskiem promieni i feeria zapachów kwitnącego bzu, dodawały każdemu energii i chęci do życia. Ewa zaproponowała spacer po lesie. Ucieszyłem się, że znów wyruszymy na szlak. Jednak moja dziewczyna wsadziła mnie do PKS-u i poinformowała, że jedziemy do Lanckorony. Trochę się zdziwiłem. Widok z okna autobusu szybko rozwiał moje rozterki. Urzekła mnie dziwna forma Lanckorońskiej Góry, która wyróżniała się na tle krajobrazu. Było coś magnetycznego w panoramie tego małego miasteczka. Wydawało mi się, że wjeżdżam do zupełnie innej krainy, odrębnego państwa czy też księstwa. Tak, Księstwo Lanckorońskie to dobra nazwa. Towarzyszyło mi dziwne uczucie – lekkiego niepokoju, fascynacji i zaciekawienia. Byłem człowiekiem „światowym”, skąd więc takie doznania zupełnie niepasujące do okoliczności? Nie umiałem tego wyjaśnić w jakiś racjonalny sposób, ale to, co wtedy czułem, pamiętam do dziś. I zawsze, gdy później przyjeżdżałem do Lanckorony, emocje były podobne.

Wysiedliśmy w Rynku, okolonym małymi, bardzo starymi chatkami, które nadawały urok temu miejscu i sprawiały, że czas cofał się o ponad wiek. Ewa wzięła mnie za rękę i oprowadziła po niewielkiej miejscowości.

– Tu spędziłam najwspanialsze chwile mojego dzieciństwa – powiedziała, wskazując na mały domek stojący nieopodal szkoły. – Niewiele pamiętam, bo miałam zaledwie sześć lat, gdy przeniosłyśmy się z mamą z Lanckorony do Andrychowa.

Jednak byłam tu bardzo szczęśliwa. Tata często brał mnie na barana i cwałował ze mną dookoła rynku, udając, że jest moim czarnym rumakiem, a ja księżniczką i uciekamy przed złą czarownicą.

Obeszliśmy stromy, brukowany Rynek i okoliczne uliczki, zafascynowani architekturą sprzed niemal stu pięćdziesięciu lat. Domy były położone dość ciasno, jeden obok drugiego. Stały bardzo blisko ulicy, więc wścibscy turyści mogli zerkać przez nisko osadzone okna do wnętrza. Każdy dom miał przedłużony dach z charakterystycznym okapem wysuniętym od frontu, co tworzyło podcienie. Dawniej uznawano, że granice posesji kończą się tam, dokąd sięga budynek, więc przedłużając zadaszenie, powiększano własny teren. Podcienia wykorzystywano do wystawiania towarów w czasie licznych targów i jarmarków. Charakterystyczne szerokie bramy wiodły przez sień na podwórze. Blisko siebie stojące domy oddzielone były miedziami, wąskimi ścieżkami biegnącymi miedzą, czyli granicą działki. Gdy doszliśmy ulicą Świętokrzyską do rozwidlenia, Ewa wskazała na opadającą w dół, okoloną drzewami drogę.

– Tutaj razem z rodzicami przychodziliśmy zjeżdżać na sankach. Mieliśmy ogromne sanki, więc mieściliśmy się na nich w trójkę. Siedziałam między rodzicami i zachwycona wołałam: „szybciej, szybciej”, a mama krzyczała ze strachem do taty: „hamuj, hamuj!”. – Ewa uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Raz, w tajemnicy przed mamą, poszłam z tatą na nasz saneczkowy tor, było cudownie. Ostatni zjazd zakończyliśmy efektownie w zaspie. Niestety, nasza

wyprawa nie uszła uwadze mamy. Wróciliśmy cali przemoczeni, a tata miał potarganą kurtkę, bo zaplątał się w krzakach po jednym z brawurowych zjazdów. Dostaliśmy niezłą burę. Do dzisiaj w szafie wisi kurtka taty z łąką na rękawie – zakończyła opowieść i posmutniała.

Skreśliśmy w lewo i zaczęliśmy się wspinać na Górę Zamkową. Niestety, zamek wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego był już tylko ruiną. Został zniszczony w wyniku kilkumiesięcznego oblężenia podczas Konfederacji Barskiej. Potem Lanckorona trafiła do austriackiego zaboru, więc upływający czas i natura dokonały reszty. Jednak ruiny porośnięte trawą i krzewami, otulone poranną mgłą, wydały mi się niesamowite, prawie nierealne. Promienie słońca nieśmiało skradały się po liściach, muskając budowlę kamień po kamieniu. Mury sprzed setek lat wyłaniały się zza zasłony oparów mgły. Staliśmy w ciszy u podnóża zamku, zauroczeni spektaklem, który odgrywała dla nas natura. Nie chcieliśmy niepotrzebnym gestem czy słowem zburzyć tej magicznej chwili. Gdy słońce rozproszyło resztki mgły, ruszyliśmy alejką okalającą wzgórze. Wędrowaliśmy, podziwiając widoki, które gdzieś wyłaniały się spoza drzew. Czuję się szczęśliwy, idąc wśród śpiewów ptaków, czując woń leśnych kwiatów i trzymając za rękę kobietę, którą kochałem. Gdy weszliśmy na nową ścieżkę, Ewa zatrzymała się i szepnęła mi do ucha:

– To Aleja Cichych Szeptów.

– I będziemy tu tylko szeptać? – odmruknąłem jej

swoim basem.

– O pewnych sprawach mówi się bardzo cicho...

– Jestem trochę przygłuchy, bo słoń nadepnął mi na ucho. – Próbowałem zażartować, aby trochę rozluźnić atmosferę, która zrobiła się dziwnie poważna. Czuję się nieswojo.

– To, co chcę ci powiedzieć, masz usłyszeć sercem – powiedziała i poprowadziła mnie wśród budzących się konwalii, na mały skrawek zieleniejącej się trawy.

Rozłożyłem moją kurtkę na ziemi i usiedliśmy blisko siebie. A Ewa wtulona we mnie cicho szeptała to, co tak bardzo chciałem usłyszeć. Na przemian czerwieniłem się i bladłem, z każdym jej muśnięciem warg żar moich uczuć potęgował się, aż w końcu nie byłem w stanie dłużej się powstrzymać. Pragnąłem jej jak nigdy dotąd. Odszukałem jej usta i objąłem mocniej, tak że z trudem mogła oddychać, ale nie odsunęła się, tylko przywarła do mnie całym swym kruchym ciałem. Czuję jej łzy spływające po policzku pomieszane z moimi. Byłem szczęśliwy, chciałem to wykrzyzczeć, ale Ewa powstrzymała mnie, kładąc mi palec na ustach.

– Nie musisz krzyczeć, one i tak to usłyszą. – Ewa zaskoczyła mnie, tym stwierdzeniem.

– One?

– Anioły.

– Anioły?

– Tu mieszkają anioły, spacerują tą aleją i szepczą.

– Co szepczą?

– Tajemnice... – Ewa odsunęła się i spojrzała mi w oczy. – Gdy chcę porozmawiać z moimi rodzicami, przychodzę tutaj. Wierzę, że tu są i słyszą mój szept. A ja czuję ich obecność. Przeprowadziłam cię, bo chciałam im przedstawić – zawahała się na chwilę – mojego przyszłego męża, o ile zgodzisz się nim być – zakończyła ze śmiechem. Zawtórowałem jej. Śmiałyśmy się do utraty tchu, szczęśliwi, że mamy siebie. Takiego biegu wydarzeń nie przewidziałem, zerwałem więc dla Ewy bukiet konwalii, a na palec włożyłem jej splecione źdźbło trawy.

Ślub wzięliśmy we wrześniu w zabytkowym kościele w Lanckoronie. Niewielu gości pojawiło się na uroczystości. Najważniejsi jednak dotarli – moja babcia i tata, dziadek Ewy z Gdańska, kilku moich przyjaciół ze studiów i koleżanki Ewy, no i oczywiście... anioły.

Zamieszkaliśmy w Krakowie, w mieszkaniu ciotki Ewy przy ulicy Sławkowskiej. Ewa wróciła na studia, a ja po obronie pracy magisterskiej otrzymałem propozycję rozpoczęcia studiów doktoranckich. Zrezygnowałem jednak, bo tak jak przypuszczałem, staż w Edynburgu otworzył mi wiele możliwości na rynku pracy. Zaproponowano mi stanowisko w jednym z nowo otwartych banków w Krakowie. Przez pierwsze lata piąłem się wytrwale po szczeblach kariery, byłem sumiennym pracownikiem, a właściwie pracoholikiem. Wiecznie nieobecny w domu próbowałem rekompensować rodzinie stracony czas w weekendy i wakacje. Po niespełna trzech latach małżeństwa na świecie pojawiła się Ania. Postanowiliśmy zamieszkać w Andrychowie,

z dała od wielkowiejskiego zgiełku. Ewa ponownie zrezygnowała ze studiów i zajęła się wychowywaniem dzieci, bo dwa lata później urodził się Mateusz. Ewa całą swą uwagę skupiła na córce i synu, była dla nich cudowną matką. Podziwiałem ją, miała dla nich tyle cierpliwości, ciepła i czasu. Ja byłem nadal zajęty, awansowałem i organizowałem oddział banku w Bielsku-Białej. Co prawda zaoszczędziłem czas na dojazdach, bo dystans zmniejszył się prawie trzykrotnie, ale pracy miałem trzykrotnie więcej.

To był ciężki czas, zarówno dla mnie, jak i dla Ewy. Jedyным plusem było to, że finansowo stanęliśmy na nogach. Udało nam się za preferencyjny kredyt odkupić od spółdzielni opuszczone mieszkanie, które sąsiadowało z naszym i przestaliśmy się gnieść na czterdziestu metrach kwadratowych. Dodatkowy pokój, pralnia z suszarnią zagospodarowana z dodatkowej łazienki i mały gabinet przerobiony ze ślepej kuchni, który Ewa zagarnęła dla siebie, znacznie poprawiły nasze warunki mieszkaniowe. A gdy awansowałem na dyrektora oddziału, zaczęliśmy się zastanawiać nad kolejnym kredytem, tym razem na kupno domu.



Zamyślony, nie zauważyłem kałuży. Stałem w błocie, a zimna, brudna woda wlewała mi się do buta. Ocknąłem się. Zacząłem się rozglądać po okolicy i szukać sylwetki Ewy. Zauważyłem, jak znika za bramą cmentarza.